

# Wojciech Flak

---

## Jednostka, wolność, władza, a "duch Ameryki"

---

Studia Politicae Universitatis Silesiensis 3, 31-61

---

2007

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wojciech Flak

## Jednostka, wolność, władza, a „duch Ameryki”

Sprawa Ameryki to sprawa całej ludzkości  
Benjamin Franklin

Upadek Związku Radzieckiego znacznie zwiększył potęgę Ameryki względem reszty świata. Rozmieszczony we wszystkich zakątkach globu jej ogromny arsenał militarny, kiedyś ledwie wystarczający do zrównoważenia potęgi Rosji Radzieckiej, nie miał już istotnej przeciwwagi. Naturalną konsekwencją owego jednobiegunowego układu była większa skłonność Ameryki do użycia siły poza własnymi granicami. Zniknięcie Związku Radzieckiego sprawiło, że Stany Zjednoczone poczuły się uprawnione do interweniowania praktycznie wszędzie, gdzie chcą. Określenie „supermocarstwo” nie wystarczało, by oddać to, czym była Ameryka na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku. W 1992 roku ówczesny minister spraw zagranicznych Francji Hubert Védrine ukuł termin „hipermocarstwo” na określenie Stanów Zjednoczonych. Potęgą militarna Ameryki zrodziła naturalną skłonność do jej użycia.

Rok 2001, będący już swego rodzaju ikoną, stał się symbolem prawdziwego początku XXI wieku w polityce światowej. Wtedy właśnie, według zgodnych opinii wielu uznanych polityków, ludzi kultury, światowej sławy politologów, a także szarej masy przechodniów, zmienił się świat. Wtedy też Amerykanie tak naprawdę zdali sobie sprawę z tego, że Atlantyk i Pacyfik przestały ich ochraniać. Zaczęto więc umacniać ochronę Ameryki, co siłą rzeczy wzmogło działania, których charakter w dużej mierze był odbierany jako imperialny, zarówno w kraju, jak i za granicą. Skutki obecnych posunięć polityczno-gospodarczych Ameryki na mapie świata będą obserwowane przez nas oraz przyszłe pokolenia i doświadczane jeszcze przez

bardzo długi czas. Warto więc przyjrzeć się bliżej temu jednemu od piętnastu lat światowemu imperium, ponieważ jego szeroko rozumiana polityka dotyka każdego z nas, czego, na szczęście, stajemy się coraz bardziej świadomi.

## Rodzi się „duch Ameryki”

Pierwsze i kolejne pokolenia Amerykanów wierzyły, że Stany Zjednoczone muszą stać się największą potęgą, ponieważ zasady i ideały, na których się opierają, są bezsprzecznie lepsze w stosunku do idei kształtujących narody i rządy w całych dziejach ludzkości.

Robert Kagan

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej są państwem, którego ustroj i kultura, wywodzą się z europejskich idei politycznych i europejskiego kręgu kulturowego. Federacja stanów, ich konstytucja i ustroj polityczny oraz naród amerykański zostały stworzone na podwalinach europejskiej myśli politycznej przez Europejczyków i z Europejczyków. Ludzie ci, z biegiem lat, uświadomili sobie odrębność swej społeczności, można by rzec – dojrzeli swą „amerykańskość”, wskutek czego zapragnęli dla siebie oraz dla swej nowej ojczyzny niczym nieskrępowanej wolności i niepodległości. Wraz z końcem wieku XVIII powstało „Imperium Wolności” – tak nazwał Stany Zjednoczone, zagorzały antyfederalista i zwolennik jak największych swobód, Thomas Jefferson – jeden z „ojców założycieli” narodu i państwa amerykańskiego. Powstało imperium, które miało nauczać inne narody, krzewić w nich własne cnoty i zalety, a także zaprowadzać nowy ład na naszej planecie. Politycy amerykańscy, a co ważniejsze – amerykańskie społeczeństwo, byli przekonani o moralnym nakazie eksportu i popularyzacji wszystkich swoich demokratyczno-liberalnych i purytańskich wartości.

Najważniejszymi dla Amerykanów wartościami są: rodzina, Bóg, wolność, równość i indywidualizm. Te pięć cnót ma w amerykańskim narodzie, od jego zarania, bardzo duże znaczenie. „Dla pokolenia początków republiki, dla Waszyngtona, Hamiltona, Franklina i Jeffersona, nic nie było bardziej pewne niż to, że północnoamerykański kontynent zostanie ujarzmiony, amerykańskie bogactwo i populacja będą rosły, a młoda republika pewnego dnia zdominuje zachodnią półkulę i zajmie miejsce wśród największych potęg świata”<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> R. Kagan: *Potęga i raj. Ameryka i Europa w nowym porządku świata*. Warszawa 2003, s. 101.

Zdumiewa nas dzisiaj spełniająca się na naszych oczach prorocstwo tych, których zwykło się w Ameryce nazywać „ojcami założycielami”: Thomasa Jeffersona, Johna Adamsa, Benjamina Franklina, Jamesa Madisona, Alexandra Hamiltona oraz George’a Waszyngtona – pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Trzeba jednak pamiętać, że były to cudowne dzieci nauki Oświecenia, najwytrawniejsze umysły obdarzone niezwykle darem przewidywania oraz zdolnością tworzenia rzeczy wielkich. Mieli oni możliwość niemalże bezpośredniego zapoznawania się, czerpania i wcielania w życie wiedzy i zdobyczy intelektualnych tak wielkich uczonych, jak Hobbes’a, Locke’a czy Montesquieu, ale też Platona czy Arystotelesa. Wiedzieli dobrze, że będzie tak, jak mówił Hamilton – naczelny federalista Ameryki: „Ameryka przyjmie wkrótce postawę właściwą dla jej wielkiego przeznaczenia – majestatyczną, sprawną, pochłoniętą wielkimi sprawami, którą czeka wspaniała kariera”<sup>2</sup>.

„Ojcowie założyciele” dokonali eksperymentu z wdrożeniem całkowicie świeżych i niesprawdzonych w czasach nowożytnych, ale w ich mniemaniu doskonałych, klasycznych idei dotyczących ustroju i zasad działania państwa. Wymagało to wielkiej wiedzy i odpowiedzialności, ale też ogromnej odwagi i wiary w powodzenie misji. Dziś możemy obserwować wypełnianie się ich snu o amerykańskiej wolności i potędze, o rozszerzaniu się demokratyczno-liberalnej strefy pokoju.

W naszych czasach Ameryka jest jeszcze silniej postrzegana przez siebie samą, jako „naród wybrany”. Według słów Adama Szostkiewicza o Stanach Zjednoczonych – „Naród Wybrany ma misję: szerzenie pokoju, wolności i nadziei”<sup>3</sup>. Dodajmy, że szerzenie to ma się odbywać przy użyciu wszelkich dostępnych środków i metod. Tak więc wpływ, oddziaływanie i eksport wartości oraz rozwiązań ustrojowych na większość krajów świata wzmagало się i stało się czymś naturalnym i pożądanym w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych.

Obserwując terazniejsze Stany Zjednoczone, możemy być, i nierzadko jesteśmy, lekko zaniepokojeni tym, co widzimy, ponieważ widzimy najpotężniejsze państwo działające jednostronnie, widzące wszystko w kolorach czerni i bieli, kategoriach Dobra i Zła, odwołujące się w swojej działalności politycznej do Boga oraz wartości religijnych. Nigdy wcześniej religia nie była źródłem politycznej inspiracji prezydenta Stanów Zjednoczonych na taką skalę, jaka dzisiaj ma miejsce. „Amerykański prezydent – pisze Jacek Żakowski – nie jest tylko przywódcą mocarstwa, amerykański prezydent jest architektem świata i to od niego w decydującej mierze zależy, w jakim kierunku pójdzie cywilizacja”<sup>4</sup>. Co gorsza, w pojmowaniu Ameryki interesy

<sup>2</sup> Ibidem.

<sup>3</sup> A. Szostkiewicz: *Bóg z Bushem*. „Polityka” 2003, nr 13, s. 24.

<sup>4</sup> J. Żakowski: *Sprawy ważne i najważniejsze*. „Polityka” 2004, nr 45, s. 18.

Stanów Zjednoczonych i reszty świata są identyczne. W odpowiedzi na postępowanie dzisiejszej Ameryki Samuel Huntington pisze: „Przywódcy Stanów Zjednoczonych powinni porzucić złudną wizję dobrotliwego hegemona, którego interesy są w naturalny sposób zbieżne z interesami świata. Bo nie są”<sup>5</sup>.

4 lipca 1776 roku ogłoszono Deklarację niepodległości. Od tego dnia koloniści zamieszkujący 13 pierwszych kolonii brytyjskich nie czuli się już Europejczykami lub ich potomkami. Czuli się wolnymi i niepodległymi Amerykanami, którym nikt nie ma prawa narzucać własnej woli. „Duma narodowa Anglika, który nie przestaje nim być wskutek przepłynięcia przez Ocean, ustępuje stopniowo miejsca dumie wolnego Amerykanina”<sup>6</sup>. Tworząc wspólnotę, zawarli umowę, która miała bronić ich interesów jako grupy, ale też interesów jednostkowych. Jak trafnie zauważa John Locke, „Ludzie nie zrezygnowaliby z wolności stanu natury i nie zjednoczyliby się, podlegając rządowi, gdyby to nie miało zachować ich życia, wolności i majątku oraz zabezpieczyć pokoju i spokoju poprzez ustanowienie *trwałych zasad* określających ich uprawnienia i własność”<sup>7</sup>.

Tak powstaje społeczeństwo polityczne i zaczyna się kształtować demokracja liberalna, która nęcąc wizją rządów ogółu, stanowi niezmiernie duże zagrożenie dla monarchii absolutnej. Jefferson, Adams i Franklin pisząc, a następnie ogłaszając Deklarację niepodległości, rozpoczęli amerykańskie dzieło liberalizacji świata. Jefferson notował: „Nasze obowiązki nie ograniczają się tylko do naszego własnego społeczeństwa. Działamy w imieniu całej ludzkości. Dobrodziejstwa oferowane przez demokratyczną republikę powinny zostać udostępnione innym”<sup>8</sup>. Deklaracja niepodległości była krokiem milowym w rozwoju liberalizmu i współczesnego demokratyzmu, ale też rozwoju Ameryki oraz całego świata. „Deklaracja – pisze Hugh Brogan – była protestem i programem nie tylko dla rodaków Jeffersona, ale dla całej cywilizowanej ludzkości. Historia amerykańskiej demokracji jest stopniową realizacją implikacji wynikających z Deklaracji Niepodległości”<sup>9</sup>.

Podobną osobliwością było powstanie i rozrost Stanów Zjednoczonych z 13 początkowych kolonii do ogromnego kraju, jakim Stany Zjednoczone są obecnie<sup>10</sup>. „W 1776 roku Stany Zjednoczone zajmowały zaledwie 8 pro-

<sup>5</sup> S. Huntington: *Samotność szeryfa*. „Gazeta Wyborcza” z 24–26 grudnia 1999, s. 23.

<sup>6</sup> J. Baszkiewicz: *Wolność, równość, własność*. Warszawa 1981, s. 70.

<sup>7</sup> J. Locke: *Dwa traktaty o rządzie*. Warszawa 1992, s. 260.

<sup>8</sup> D. Passent: *Imperium dobra*. „Polityka” 2003, nr 16, s. 47.

<sup>9</sup> H. Brogan: *Historia Stanów Zjednoczonych Ameryki*. Wrocław 2004, s. 198.

<sup>10</sup> W roku 1783 USA przejęły od Wielkiej Brytanii tereny do rzeki Missisipi (tereny wcześniejszych 13 koloni). W 1803 r. kupiły Luizjanę od Francji, w 1819 r. Florydę od

cent obecnego terytorium. W swych dzisiejszych granicach formowały się przez podbój i wykup terenów. Żaden inny kraj we swej współczesnej historii nie został stworzony w taki sposób<sup>11</sup> – pisze Aleksander Smolar. Ameryka się rozrastała, potrzebowała zatem przestrzeni. Wszelki podbój i zabór terenów pod dzisiejsze Stany Zjednoczone odbywał się w imieniu boskiej Opatrzności i był moralnie usprawiedliwiony, a w przekonaniu polityków i społeczeństwa – wręcz nakazany. „Podbijając nowe terytoria, Ameryka wyzwalała je, cywilizowała, nawracała i anektowała zarazem – uprawiała liberalny ewangelizm. »Świat musi być zabezpieczony dla demokracji« – mówił prezydent Woodrow Wilson”<sup>12</sup>.

Zamiłowanie Ameryki do prowadzenia wojen wynika z jej europejskich korzeni, ale też z potrzeby zyskania przestrzeni życiowej – najpierw i dominacji oraz zabezpieczenia własnych interesów – później. Ameryka począwszy od XIX wieku przeprowadziła w różnych częściach świata około 25 większych „interwencji” militarnych, w tym wojen<sup>13</sup>. To daje niezwykle wysoką średnią – jedna interwencja na dziewięć lat. Amerykanie byli przedstawiani jako „rycerze wolności”, a ich wojny jako „krucjaty wolności” przeciw uciskowi ludzkości przez tyranie. Z każdą wygraną wojną zwiększali własne i światowe bezpieczeństwo, bo rozszerzali strefę wolności. Krzysztof Michałek, amerykańista z Uniwersytetu Warszawskiego, twierdzi, iż, „Amerykanie doszli do wniosku, że wojna to historyczny kataklizm, trzeba więc tak zmienić świat, aby wojny przestały być możliwe”<sup>14</sup>.

„Polityka amerykańska – przekonuje Robert Kagan – zawsze opierała się na wspólnym i wyraźnym założeniu, że Stany Zjednoczone są niezastąpionym państwem. Amerykanie pragną obronić i promować liberalny porządek międzynarodowy”<sup>15</sup>. Właśnie to – amerykańska wizja nowego ładu światowego – prowadzi do wzrostu nieufności i narastającej agresji prze-

---

Hiszpanii. W roku 1845 anektowały Teksas, a w 1846 r. na mocy umowy z Wielką Brytanią przyłączyły Oregon. W latach 1846–1848 po wojnie z Meksykiem zajęły południowe tereny (dzisiejsze Kalifornia, Nevada, Arizona, Nowy Meksyk, Utah). W 1867 r. zakupiły Alaskę od Rosji. W roku 1898 po wojnie z Hiszpanią zajęły Filipiny, Guam, Puerto Rico i Hawaje.

<sup>11</sup> A. Smolar: *Co wolno imperium*. „Gazeta Wyborcza” z 23–24 października 2004, s. 17.

<sup>12</sup> D. Passent: *Imperium dobra...*

<sup>13</sup> 1898–1899 – Kuba, 1903 – Panama, 1912 – Nikaragua, 1916 – Meksyk, 1917–1918 – I wojna światowa, 1927 – Chiny, 1934 – Haiti, 1941–1945 – II wojna światowa, 1950–1953 – Korea, 1961 – Kuba, 1965 – Dominikana, 1965–1973 – Wietnam, 1983 – Liban, Grenada, 1991 – Irak, 1993 – Somalia, 1994 – Haiti, 1995 – Bośnia, 1999 – Jugosławia, 2001 – Afganistan, 2003 – Irak.

<sup>14</sup> K. Michałek, w wywiadzie dla Magazynu „Gazety Wyborczej” z dnia 18 października 2001.

<sup>15</sup> R. Kagan: *Potęga i raj...*, s. 109.

ciw Stanom Zjednoczonym. Wcale jednak nie musiało tak być, bo jak twierdzi cytowany Krzysztof Michałek: „W 1796 roku prezydent Waszyngton ogłosił Adres Pożegnalny. Uznał w nim, że Stany Zjednoczone powinny być wstrzemięźliwe wobec kontaktów ze światem zewnętrznym, a szczególnie z Europą. Nie mieszać się do żadnych konfliktów oraz ograniczać kontakty polityczne, a rozwijać kontakty handlowe. Jednak wiek później imperialiści uważali, że nadszedł już właściwy moment do przejęcia od Brytyjczyków pałeczki w przewodzeniu światem. W 1917 roku, amerykańscy politycy świadomie z izolacjonizmem zerwali”<sup>16</sup>. Wiek XX nazwany został „amerykańskim stuleciem”, to oczywista prawda, którą potwierdzają chociażby osiągnięcia militarne i wojenne, ale też polityczne, ekonomiczne i kulturalne Ameryki.

„Ojcowie Założyciele – pisze Stanisław Filipowicz – często mówią o swoistym przemieszaniu się antyku i tego, co przynależy do epoki nowożytnej. Są przekonani, że republika nowożytna wyrasta niejako z tego samego pnia, że antyczny republikanizm stworzył nieodzowną podstawę, na której będą mogli oprzeć własne dzieła. Wierzą, że dokonają rzeczy, które będą przerastać miarę antyku, że to właśnie jest ich powołaniem”<sup>17</sup>. W 1776 roku na kontynencie północnoamerykańskim powstaje pierwsza nowożytna republika. W Ameryce władza najwyższa należy już do ludu, a rządzący wybierani są w wyborach powszechnych<sup>18</sup>. „Legislatywa – pisze Locke – jest władzą delegowaną przez lud i tylko lud może ustanowić formę wspólnoty przez ukonstytuowanie legislatywy”<sup>19</sup>. Nowożytna republika powstaje nie w Anglii, nie we Francji, nie w Grecji, nawet nie na ziemiach Imperium Romanum, ale na kontynencie amerykańskim, odkrytym nieomal trzydzieści lat wcześniej, co w porównaniu do długości trwania kultury cywilizacji europejskiej jest niemalże pyłkiem na wietrze.

Wolność człowieka to w ówczesnych i terażniejszych Stanach Zjednoczonych najwyższa wartość i podstawa ideowa tego kraju. D u c h w o l n o ś c i przenika całą tkankę społeczną, polityczną i gospodarczą państwa: od prostego farmera na monotonnym środkowym południu aż po prezydenta.

<sup>16</sup> K. Michałek w wywiadzie dla Magazynu „Gazety Wyborczej” z dnia 18 października 2001.

<sup>17</sup> S. Filipowicz: *Pochwała rozumu i cnoty. Republikańskie credo Ameryki*. Kraków 1997, s. 13.

<sup>18</sup> Wybory powszechne były od 1787 r. i oczywiście tylko dla mężczyzn. Amerykańskie kobiety najwcześniej, bo w 1868 r., uzyskały prawa wyborcze w stanie Wyoming, a w całym kraju wywalczyły je dopiero w 1920 r., co zostało prawnie podparte XIX poprawką do Konstytucji. Prawa głosu nie miała również ludność czarna, a ograniczenia te zaczęto znosić dopiero w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia.

<sup>19</sup> J. Locke: *Dwa traktaty...*, s. 264–265.

Koncepcja twórców nowożytnej republiki nie była niczym nowym w ewolucji myśli społeczno-politycznej, a tylko pewnym zestawieniem, kompilacją najbardziej podówczas racjonalnych koncepcji filozoficzno-politycznych. Twórcy ci harmonizowali poglądy wielu wybitnych uczonych, układali je w logiczną całość i taką „puszczali w ruch” do ośrodków życia publicznego i samego społeczeństwa. Niemniej jednak to im zawdzięczamy nowożytną erupcję republikańskich dążeń w Europie i w Ameryce Środkowej i Południowej. Koniec wieku XVIII przyniósł większą świadomość i działalność liberalną społeczeństw po obu stronach Atlantyku. „Rewolucje amerykańska i francuska – pisze Zbigniew Rau – wprowadziły myśl polityczną liberalizmu do politycznej, czyli konstytucyjnej praktyki obu kontynentów. U jej podstaw legły amerykańska Deklaracja Niepodległości (1776) i francuska Deklaracja praw człowieka i obywatela (1789) oraz konstytucje – amerykańska (1787) i francuska (1791)”<sup>20</sup>. Od tej chwili liberalizm i demokracja pozostają już na zawsze w dziejach świata, rozprzestrzeniają się w nim i są początkiem ogłoszonego niedawno, choć trochę za wcześnie, końca historii.

Koniec wieku XVII przyniósł pierwszą, pełną i usystematyzowaną liberalną doktrynę polityczną cytowanego już wcześniej Johna Locke’a, którą zawarł on w swych *Dwu traktatach o rządzie*. Locke definiuje wolność w następujący sposób: „Być *wolnym*, to znaczy dysponować i swobodnie, zgodnie z własnym sumieniem, kierować własną osobą, działaniem, majątkiem, całą swą własnością za przyzwoleniem prawa, któremu się podlega, nie być więc poddanym czyjejś arbitralnej woli, ale kierować się bez przeszkód własną wolą. *Naturalna wolność* człowieka sprowadza się do bycia wolnym od jakiegokolwiek nadrzędnej władzy na ziemi i niepodlegania w zasadach swego postępowania woli bądź władzy ustawodawczej żadnego człowieka, a tylko prawu natury”<sup>21</sup>. Locke mówi, iż aby tę wolność dla ludzi zabezpieczyć, a przez to ochraniać również ich własność, muszą oni zawrzeć umowę i oddać część swej naturalnej wolności na rzecz wybieranej przez nich władzy. Nadal jednak zachowują wolność, ponieważ „Wolność człowieka w społeczeństwie – powiada Locke – sprowadza się do niepodlegania żadnej innej władzy ustawodawczej, a tylko tej powołanej na mocy zgody we wspólnocie, ani też panowaniu czyjejkolwiek woli, ani ograniczeniom jakiegokolwiek prawa innego niż to, które uchwali legislatura zgodnie z pokładanym w niej zaufaniem”<sup>22</sup>.

Monteskiusz o zagadnieniu wolności politycznej pisze: „Wolność jest to prawo czynienia wszystkiego tego, na co ustawy pozwalają, wolność może

<sup>20</sup> Z. Rau: *Liberalizm. W: Doktryny polityczne XIX i XX wieku*. Red. K. Chojnicka, W. Kozub. Kraków 2000, s. 13.

<sup>21</sup> J. Locke: *Dwa traktaty...*, s. 201, 178.

<sup>22</sup> Ibidem, s. 178.

polegać jedynie na tym, by móc czynić to, czego się powinno chcieć, a nie być zmuszonym czynić tego, czego się nie powinno chcieć. Wolność polityczna jest to ów spokój ducha pochodzący z przeświadczenia o własnym bezpieczeństwie”<sup>23</sup>. W Stanach Zjednoczonych powstał dobrze rozwinięty samorząd, uprawnienia poszczególnych stanów w zakresie ich polityki wewnętrznej były bardzo wysokie, obywatele republiki cieszyli się wolnościami, o jakich poddani europejskich monarchii mogli tylko pomarzyć. Jednakże, pewnie z potrzeby zachowania równowagi w przyrodzie, nie brakowało głosów mówiących o potrzebie ustanowienia silnych federalnych uprawnień rządu. Osiągnięto wówczas kompromis, dając prezydentowi naprawdę ogromną władzę, ale w ustawie zasadniczej umiejscawiając go na drugim miejscu, tuż po władzy ustawodawczej, czyli Kongresie. Miało to być wyrazem stworzonej w Ameryce zasady „check and balance”<sup>24</sup>, zabezpieczającej wolności obywatelskie, prawidłowe działanie instytucji państwowych oraz niepowstawanie radykalnego, zagrażającego wolności, prawa. Wynikało to oczywiście z idei podziału władz Monteskiusza, która to zasada była dla „ojców założycieli” ważnym drogowskazem w opracowywaniu formy rządu i ogólnego ustroju politycznego państwa. Jefferson w liście do Madisona, pisał wprost: „Podoba mi się podział rządu na władzę ustawodawczą, sądowniczą i wykonawczą”<sup>25</sup>, a jego przekonaniu wtórował James Madison, mówiąc, że „Władza w jednym ręku to tyrania. Jedna władza musi ograniczać drugą”<sup>26</sup>.

Tak oto, w największym skrócie, przedstawiają się burzliwe początki republiki amerykańskiej, które Pierwszy Komitet Wielkiej Pieczęci Stanów Zjednoczonych, zebrany w 1776 roku, zamknął w jednej łacińskiej sentencji – „e pluribus unum”, czyli „z wielości jedno”.

## Ameryka w opisie Tocqueville’a

Amerykanie zaczęli rządzić się prawami, które w arystokratycznej Europie były, przez długi jeszcze czas, nie do pomyślenia jako obowiązujące. Wszyscy więc bacznie patrzyli na zachodnią część świata. Z jednej stro-

<sup>23</sup> Monteskiusz: *O duchu praw*. Kęty 1997, s. 169, 171.

<sup>24</sup> Dosłownie: sprawdzanie i równoważenie. Zasada ta odnosi się zarówno do prezydenta jak i do parlamentu.

<sup>25</sup> W. Osiatyński: *Wizje Stanów Zjednoczonych w pismach Ojców Założycieli*. Warszawa 1977, s. 246.

<sup>26</sup> A. Balicki: *Korzenie wolności i równości w demokracji amerykańskiej*. „Rubi-kon” 1998, nr 2–3.

ny arystokracja – z obawą i nadzieją, że pochod demokracji da się jeszcze zatrzymać, a z drugiej – zwolennicy demokracji, oraz zwykli ludzie z wyczekiwaniem i świadomością jej nieodwracalności. Wszyscy dobrze wiedzieli, że demokracja liberalna to ustrój przyszłości.

Najlepiej jednak – bo z autopsji – wiedział to pewien Francuz, który w 1831 roku został wysłany w podróż do Stanów Zjednoczonych. Był to dwudziestosześcioletni Alexis de Tocqueville, urzędnik państwowy, prekursor socjologii polityki, późniejszy członek nobliwej Akademii Francuskiej. Miał on zbadać amerykański system więziennictwa w związku z planowaną w jego ojczyźnie reformą systemu penitencjarnego. „Nowa Ameryka” urzekła go jednak w takim stopniu, iż postanowił poświęcić zagadnieniu amerykańskiej demokracji kilka lat swojego życia. Zaprzagnął bowiem zrozumieć uwarunkowania wielkiego historycznego przełomu, ewolucyjnego procesu przechodzenia społeczeństw od formacji monarchicznych do demokratycznych. Szukał przyczyn rozprzestrzeniania i utrzymywania się demokracji na świecie. „Odniosłem wrażenie – pisał – że ta sama demokracja, która zawładnęła społeczeństwami amerykańskimi, pośpiesznie zmierza ku władzy w Europie”<sup>27</sup>.

W Ameryce mógł Tocqueville obserwować proces demokratyzacji poniekąd „na żywo”, dzięki czemu łatwiej aniżeli jego europejskim rodakom było mu zauważyć, a później opisać mechanizmy społeczno-polityczne rządzące demokracją oraz pożytki i niebezpieczeństwa z niej wynikające, aby wydobyć z amerykańskiej demokracji maksimum korzyści dla wolności, która miała niedługo zawitać do Europy. Jerzy Surdykowski pisze: „Lekcja Tocqueville’a była ważna dla rosnących w siłę i liczebność zwolenników demokracji na całym świecie, bo przykład amerykański wskazywał im drogę”<sup>28</sup>.

Pisałem już, że zachowanie ówczesnej, a także współczesnej Ameryki wypływa głównie z tego, iż wywodzi się ona bezpośrednio z tradycji kultury europejskiej. Potwierdzeniem tego są słowa Tocqueville’a: „Człowiek kształtuje się już w kołysce. W przypadku narodów jest podobnie. Noszą one zawsze ślady swych początków. Okoliczności, jakie towarzyszyły ich narodzinom i umożliwiły ich rozwój, wpływają potem na ich dalsze dzieje”<sup>29</sup>.

Najważniejszą dla Tocqueville’a spośród poruszonych przez niego kwestii była równość ludzi. Nie chodzi jednak o równość społeczeństwa Ameryki, która usuwałaby z niego hierarchię społeczną, przeciwnie – hierarchizację narzucał już sam system liberalny, wprowadzając prawo do wzbo-

<sup>27</sup> A. Tocqueville de: *O demokracji w Ameryce*. Kraków 1996, T. 1, s. 5.

<sup>28</sup> J. Surdykowski: *Dokąd zmierza Ameryka? Czyli drugie czytanie Tocqueville’a*. Warszawa 2001, s. 7.

<sup>29</sup> A. Tocqueville de: *O demokracji...*, s. 29.

gacania się, a tym samym podział na warstwy bogatsze i biedniejsze. Francuz wychwalał natomiast równość szans, społeczeństwo, w którym każdy jego obywatel, niezależnie od poziomu zamożności, może osiągnąć wysoki status społeczny połączony z piastowaniem wysokich urzędów państwowych. Pisał: „Im głębiej badałem społeczeństwo amerykańskie, tym silniej utwierdzałem się w przekonaniu, że równość szans jest tym podstawowym zjawiskiem, z którego wszystkie inne zdają się wywodzić”<sup>30</sup>. Cytowany Jerzy Surdykowski, tak pisze o wpływie demokracji w Ameryce na umysły ludzkie: „Miliony ludzi zmierza jednocześnie w tym samym kierunku. Różne są ich języki religia i obyczaje, lecz cel jest wspólny wszystkim. Usłyszeli oni, że gdzieś na zachodzie znajduje się szczęście i pośpiesznie biegną na jego spotkanie”<sup>31</sup>.

Religia, kolejny ważny problem Ameryki, była tam obecna od zarania jej dziejów i już wtedy miała przemożny wpływ zarówno na życie społeczne, jak i polityczne. Tocqueville sądził, że charakter cywilizacji, jak sam ją nazywa, anglo-amerykańskiej, ukształtował się „W wyniku dwóch, absolutnie sprzecznych elementów, które w Ameryce dało się niejako wcielić w siebie nawzajem i połączyć. Mam na myśli *ducha religii* i *ducha wolności*”<sup>32</sup>. Wiara odgrywała i nadal odgrywa, wyjątkowo istotną, dwoistą rolę w historii Stanów Zjednoczonych. Po pierwsze, jest ważna nie tylko z powodu dużego wpływu, jaki wywarła w XVII wieku na tworzenie się społeczności lokalnych, tak istotnych dla prawidłowego działania całego państwa, bo, jak powiada Tocqueville: „Bez wspólnych idei nie ma wspólnego działania, a bez wspólnego działania mogą istnieć jednostki, ale nie społeczeństwa”<sup>33</sup>. Po drugie, religia, a z nią wiara w to, że Opatrzność sprzyja Ameryce, stała się również niejako wykładnią amerykańskiej polityki, począwszy od argumentów wysuwanych przy okazji wojny o niepodległość, aż do ostatecznego ugruntowania tego dogmatu w połowie XIX wieku.

Religia towarzyszy Amerykaninowi od jego najmłodszych lat – już w szkołach podstawowych, codziennie „odmawia się” *Pledge of Allegiance*, czyli po naszymu *Przyrzeczenie wierności*, brzmiące mniej więcej tak: „Przyrzekam wierność fladze Stanów Zjednoczonych Ameryki i republice, którą reprezentuje – jeden naród w obliczu Boga, niepodzielny, dający wszystkim wolność i sprawiedliwość”<sup>34</sup>. Oto i mamy wreszcie „ducha Ameryki” w całej okazałości – namaszczone boskim palcem naród ofiarujący światu wolność i równość – trofea demokracji. Marek Ostrowski pisze, że wśród

<sup>30</sup> Ibidem, s. 5.

<sup>31</sup> J. Surdykowski: *Dokąd zmierza Ameryka?...*, s. 36.

<sup>32</sup> A. Tocqueville de: *O demokracji...*, s. 45.

<sup>33</sup> Ibidem, T. 2, s. 14.

<sup>34</sup> M. Ostrowski: *Czy Amerykanie wierzą w Boga?* „Polityka” 2002, nr 51/52, s. 52.

szczególnie religijnych konserwatywnych republikanów istnieje przekonanie, że „Prawa w Ameryce obowiązujące pochodzą wprost od Boga, a Ameryka jest wyjątkowa niemal jak lud Izraela, którą Bóg wybawi i powoła do wielkich dzieł”<sup>35</sup>. Środowiska chrześcijańskiej prawicy stały się w Ameryce istotną siłą polityczną. „Ameryka to kraj religijnie gorący, w którym większość – »moralną większością«, jak mówi o niej prawica – stanowią ludzie przywiązani do tradycyjnych wartości – Bóg, rodzina, pracowitość”<sup>36</sup> – pisze w „Polityce” Adam Szostkiewicz.

Kolejny, arcyważny problem w historii kształtowania się tożsamości Stanów Zjednoczonych Ameryki to zagadnienie *Objawionego Przeznaczenia*, którego tekst został sformułowany w 1845 roku przez nowojorskiego dziennikarza i dyplomatę, Johna O’Sullivana, według którego żaden kraj, nigdy nie istniał bez jakiegoś przeznaczenia lub celu. *Manifest Destiny* został skonstruowany tak, by wykorzystując wiarę ludzi we Wszechmogącego, stał się doktryną polityczną legitymizowaną przez Opatrzność. Stwierdzano w nim mianowicie, że Stany Zjednoczone mają bosko inspirowaną misję, by rozpowszechnić demokrację – jedyną sprawiedliwą praktykę rządu, na zachodnie granice, a potem na cały świat. Naród amerykański szybko uwierzył w twierdzenie o boskiej misji, jaką ma do wypełnienia, podobało mu się, że Opatrzność tak mocno wyniosła go ponad inne narody, predestynując go do władzy nad światem. „Amerykanin miał stać się nowym Adamem, zaś Zachód nowym Edenem”<sup>37</sup> – pisze Daniel Passent.

W połowie XVIII wieku O’Sullivan notował: „Nasz narodowy poród był początkiem nowej historii, formowanie i postęp nie wypróbowanego systemu politycznego oddziela nas od przeszłości i łączy nas tylko z przyszłością. Ekspansywna przyszłość jest areną naszą i naszej historii. To było narodowe, objawione przeznaczenie, by osiągnąć cały kontynent, który Opatrzność nam dała, by rozwijać wielki eksperyment wolności i federacyjnej samorządności nam powierzony. Opatrzność jest z nami, więc żadna ziemską moc nie może wyznaczyć granic naszego dalszego marszu. Daleko sięgająca, nieograniczona przyszłość będzie erą amerykańskiej wielkości. W jej wspaniałej dziedzinie przestrzeni i czasu, naród wielu narodów jest przeznaczony by manifestować rodzajowi ludzkiemu doskonałość boskich zasad. Musimy iść naprzód, by wykonać naszą misję – by na całym świecie rozwinać zasady naszej organizacji – wolność sumienia, wolność jednostki, wolność handlu i dążeń biznesowych, uniwersalność wolności i równości”<sup>38</sup>. Wiktor Osiatyński przekonuje, iż „Idea misji zaczęła spełniać funkcje po-

<sup>35</sup> Ibidem.

<sup>36</sup> A. Szostkiewicz: *Bóg z Bushem...*

<sup>37</sup> D. Passent: *Imperium dobra...*

<sup>38</sup> <http://www.omp.org.pl>

lityczne. Amerykanizacja, która miała być dobrodziejstwem, stała się religijnym i ideologicznym uzasadnieniem ekspansji w kierunku Luizjany, Teksasu, Kalifornii, a następnie ku innym kontynentom. Cywilizowanie i demokratyzowanie świata, było głównym uzasadnieniem ekspansji<sup>39</sup>.

Tocqueville jest w Ameryce symbolem pojawienia się demokracji i tym, co ze sobą niesie, czyli równości i wolności, a także jej „kroczenia” dalej, ku innym państwom i narodom. O domniemanej demokratycznej równości w republice Stanów Zjednoczonych, pisze: „Trudno jest sobie wyobrazić państwo, w którym wszyscy ludzie byliby wykształceni, tak jak państwo, w którym wszyscy byliby bogaci<sup>40</sup>. Natomiast bardzo łatwo można sobie wyobrazić państwo, w którym każdy obywatel ma równe szanse zdobycia wykształcenia, a takim krajem, dla Tocqueville’a, jest wyłącznie Ameryka. Społeczna równość następowała również we wspomnianej wcześniej sferze oświatowej. Każdy miał możliwość kształcenia i doskonalenia swoich umiejętności. Dzięki podziałowi majątności i możliwości pobierania nauki Ameryka wyzbyła się porządku arystokratycznego, który hierarchizował jej układ społeczny. „Czynnik arystokratyczny – pisze Tocqueville – jest tak osłabiony, że trudno mu przypisywać jakikolwiek wpływ na bieg rzeczy. Natomiast czynnik demokratyczny stał się nie tylko przeważający, ale wręcz jedyny<sup>41</sup>.

Zasadzie suwerenności ludu Tocqueville poświęcił wiele stron swego dzieła. W jednym z rozdziałów niezaprzeczalnie i bezdyskusyjnie stwierdził, iż w Stanach Zjednoczonych rządzi lud. Tak ową tezę argumentował: „W Ameryce lud powołuje tych, którzy dyktują prawa, i tych, którzy je wykonują; lud też powołuje sądy. Lud bezpośrednio mianuje swoich przedstawicieli. Przeważającą ich część wybiera co roku na nowo, aby ich tym bardziej od siebie uzależnić. Lud więc jest rzeczywistym władcą<sup>42</sup>. „Lud – pisze Tocqueville – rządzi amerykańską rzeczywistością polityczną tak, jak Bóg rządzi Wszechświatem; jest zarazem racją i kresem wszystkich rzeczy; wszystko pochodzi od niego i wszystko do niego powraca<sup>43</sup>.

Ameryka XIX wieku ma niezwykle dobrze rozwiniętą prasę, oczywiście teraz liczba tytułów prasowych, jak też ich nakład i objętość, są bez porównania większe, jednak, jak na owe czasy, „Prasa była obok ludu – pisze Tocqueville – jedną z pierwszych potęg. W Stanach Zjednoczonych nie ma prawie miłośnicy, która nie posiadałaby własnej gazety. To prasa powoduje, że życie polityczne toczy się we wszystkich zakątkach wielkiego kraju. To jej czujne oko potrafi wysledzić tajemne sprężyny polityki. Ona stawia

<sup>39</sup> D. Passent: *Imperium dobra...*

<sup>40</sup> A. Tocqueville de: *O demokracji...*, T. 1, s. 201.

<sup>41</sup> Ibidem, s. 55.

<sup>42</sup> Ibidem, s. 175.

<sup>43</sup> Ibidem, s. 59.

publiczne osobistości przed trybunałem opinii. To dzięki niej mogą stronnictwa porozumiewać się i pojmować na odległość<sup>44</sup>.

Jednakże całkowicie wolna prasa może w końcu zacząć zagrażać demokracji, podburzając społeczeństwo i narzucając mu odpowiednie, z góry ustalone poglądy. Największym jednak zagrożeniem dla demokracji, ze strony prasy, jest sytuacja, w której poszczególne mass media zaczynają kreować nową rzeczywistość, przeinaczając bądź tworząc nowe fakty. Surdykowski o mediach tamtej epoki pisze tak: „Media już nie tylko doradzały, kontrolowały, ostrzegały i przywoływały do porządku, ale coraz skuteczniej mogły narzucać modę, opinie, a nawet osoby. Stopniowo zaczęto je nazywać *czwartą władzą*, oddzielną od trzech niezależnych wzajemnie władz, jakie stanowią o istocie każdej demokracji. Była ona równie silna jak tamte, ale przez nikogo nie wybierana. Właściwa równowaga demokracji została zachwiana. Wielkie dzieło twórców Konstytucji Stanów Zjednoczonych, misterny system *check and balance* został naruszony. Czwarta władza jest niewybieralna, nieusuwalna i silniejsza od innych<sup>45</sup>.”

Pisałem już o tym, jak Stany Zjednoczone nader często wykorzystywały armię do załatwiania żywotnych, w swoim mniemaniu, interesów. Zawsze było im też niezwykle łatwo przekonać do swoich racji własne społeczeństwo, a potem także świat, który zawierzał im z równą łatwością. Jednakże takie przekonanie świata nie jest wcale trudne. Ryszard Kapuściński podaje prosty przepis na to, jak przekonać resztę świata do własnej wojny: „Potrzebny jest pretekst. Ważne, aby przydać mu rangę misji ogólnoludzkiej lub nakazu bożego. Wybór nie jest zbyt wielki: albo chodzi o to, że musimy się bronić, albo, że mamy obowiązek pomóc innym, albo, że wypełniamy wolę niebios. Najlepsze jest połączenie tych trzech motywów. Atakujący bowiem, powinni występować w glorii namaszczonych, w roli wybrańców, na których spoczęło oko boże<sup>46</sup>.” Kapuściński opisując politykę króla imperium perskiego – Dariusza, świadomie czy nie, opisał też nadzwyczaj trafnie ideologię wojenną Stanów Zjednoczonych.

Okazuje się, że istnieje związek między demokracją a jej domniemaną skłonnością do wojny. Alexis de Tocqueville opisuje go, sugerując, że armie demokratycznych państw prą do wojny. Na początku wyraźnie rozróżnia, że jeśli chodzi o wojnę, to jest ona preferowana tylko przez armie społeczności demokratycznych, nie zaś same społeczeństwa żyjące w demokracji, bo, jak pisze, „Społeczeństwa demokratyczne najbardziej ze wszystkich miłują pokój, zaś najgoręcej ze wszystkich armii pragną wojny armie demokratyczne<sup>47</sup>.” By wyłożyć istotę swego rozumowania, używa porówna-

<sup>44</sup> Ibidem, s. 188, 189.

<sup>45</sup> J. Surdykowski: *Dokąd zmierza Ameryka?...*, s. 66, 69.

<sup>46</sup> R. Kapuściński: *Podróże z Herodotem*. Kraków 2004, s. 133.

<sup>47</sup> A. Tocqueville de: *O demokracji...*, T. 2, s. 278.

nia wojska arystokratycznego i demokratycznego. Opisując wojsko arystokratyczne, powiada: „W armii arystokratycznej, podobnie jak w życiu cywilnym, panuje nierówność: oficer to szlachcic, żołnierz – poddany. Jeden rozkazuje, drugi słucha. W arystokratycznym wojsku ambicje żołnierza są więc wielce ograniczone. Ambicje oficera też mają granice – jednego arystokratę urodzenie przeznacza do dowodzenia pułkiem – drugiego do dowodzenia kompanią. Kiedy osiągną najwyższe dostępne im funkcje, nie dążą już dalej i uważają się za zadowolonych z losu. W społeczeństwie arystokratycznym oficer, niezależnie od swej rangi, zajmuje także wysoką pozycję społeczną”<sup>48</sup>.

Tam więc, gdzie lud wyłącznie słucha, sprawa jest prosta i bezdyskusyjna, tam gdzie wszyscy są równi, zaczynają się komplikacje, ponieważ interesy ludzi obdarzonych wolnością często stoją względem siebie w sprzeczności. „W armiach demokratycznych – pisze Tocqueville – wszyscy żołnierze mogą zostać oficerami, co upowszechnia pragnienie awansu i niemal w nieskończoność rozciąga granice wojskowych ambicji. Oficera także nic nie powstrzymuje przed dążeniem do wyższego stopnia, który ma dla niego wielkie znaczenie, ponieważ jego pozycja w społeczeństwie prawie zawsze zależy od rangi, jaką uda mu się osiągnąć w wojsku. Dlatego w demokratycznej armii pragnienie awansu jest powszechne. Jest gorące, uparte i trwałe, rośnie z innymi pragnieniami, a gaśnie dopiero wraz z życiem”<sup>49</sup>.

Awanse w armiach demokratycznych zdarzały oczywiście się częściej niż w arystokratycznych, jednakże proces ten był niezwykle spowolniony, szczególnie w warunkach pokoju. „Ponieważ liczba stopni jest z natury rzeczy ograniczona – pisze Tocqueville – liczba konkurentów ogromna, a nieugięte prawo równości ciąży na wszystkich, nikt nie może awansować szybko. Zaś potrzeba awansu jest tu większa, a łatwość awansowania mniejsza niż gdzie indziej. Wszyscy ambitni wojskowi demokratycznej armii z wielką niecierpliwością oczekują więc wojny, ponieważ wojna opróżnia miejsca i pozwala pogwałcić prawo starszeństwa. O ile więc interesy i instynkty społeczeństw demokratycznych nastawiają je pokojowo, o tyle ich własne armie popychają ku wojnom i rewolucjom. Co zaś najdziwniejsze, oba te zjawiska powodowane są przez równość”<sup>50</sup>. Gdy jednak w czasach Tocqueville’a takie tłumaczenie nie było pozbawione sensu, to w naszych czasach bardziej uprawomocnione wydaje się wyjaśnianie wojennych ekspedycji Stanów Zjednoczonych w kategoriach zdobywania nowych stref wpływów politycznych, gospodarczych i kulturowych, a także testowania najnowszych technologii wojskowych. Nie ma bowiem lepszego poli-

<sup>48</sup> Ibidem, s. 277.

<sup>49</sup> Ibidem, s. 277–278.

<sup>50</sup> Ibidem, s. 278–279.

gonu doświadczalnego dla nowej broni niż prawdziwe pole walki, gdzie ważą się jej losy, mające zdecydować o zwiększeniu bądź zaniechaniu jej produkcji.

Tocqueville podaje jeszcze inną przyczynę demokratycznych wojen: „Armia, która rozpoczyna kampanię po długim okresie pokoju, ryzykuje, że zostanie pobita. Armia, która walczy od dawna, ma duże szanse na zwycięstwo. Po dłuższym okresie pokoju – a w czasach demokracji okresy pokoju są długie – kiedy demokratyczne społeczeństwo chwyta za broń, wszyscy dowódcy jego armii są starzy, ponieważ w awansach obowiązuje zasada starszeństwa. Po długotrwałym okresie pokoju wszyscy żołnierze są dziećmi, a wszyscy oficerowie – starcami. Pierwszym brakuje doświadczenia, drugim zaś energii. W tym stanie zastaje armię wojna i dopóki wojna jej nie zmieni zarówno krajowi, jak i armii grozi niebezpieczeństwo”<sup>51</sup>. W takiej sytuacji, obserwując poczynania Stanów na świecie, możemy domniemywać, że armia amerykańska jest nieustannie szkolona, aby nie wyjść z wojennej wprawy. Demokratyczna armia Ameryki ćwiczy na światowym poligonie, by nie zostać pokonaną w razie ataku, a także by móc zawsze i wszędzie zaatakować. Poza tym widok zawsze gotowej na wszystko amerykańskiej armii odstrasza – jak na razie – potencjalnych i rzeczywistych wrogów.

Alexis de Tocqueville opuścił Stany Zjednoczone w 1835 roku, w dekadzie bardzo ważnych, ideologicznych wydarzeń, które miały ogromny wpływ na dalsze losy tego kraju. Wyjeżdżał, mając świadomość, że opuszcza kraj, w którym miał miejsce precedens na skalę światową. Podsumowując swe dzieło, napisał: „Chociaż daleko jeszcze do końca rewolucji, która dokonuje się w układzie społecznym, w prawach, ideach i odczuciach ludzi, już teraz jej rezultaty nie dają się porównać z niczym co wydarzyło się dotąd na świecie”<sup>52</sup>.

## Neokonserwatyzm amerykański

Zagadnienie to, dotyczy stanowisk, jakie w kwestiach geopolitycznych zajmuje liczebnie niewielkie, lecz od długiego już czasu bardzo wpływowe środowisko neokonserwatywnych intelektualistów oraz polityków. Świat powinien zainteresować się tą grupą ludzi, ponieważ mają oni bezpośredni, codzienny i niczym nieograniczony dostęp do najpotężniejszej osoby na

<sup>51</sup> Ibidem, s. 287–288.

<sup>52</sup> Ibidem, s. 341.

świecie – prezydenta Stanów Zjednoczonych, który, według Jacka Żakowskiego, jest architektem naszego świata. Wspomniany Żakowski przed ostatnimi wyborami w Ameryce pisał: „Republikanie i demokraci zdają sobie sprawę, że za kilka miesięcy kilkadziesiąt milionów amerykańskich wyborców przesądzi o obrazie świata i życiu kilku miliardów ludzi na następnych kilkadziesiąt lat. Zwycięstwo Busha będzie oznaczało zacementowanie neokonserwatywnego porządku”<sup>53</sup>.

Neokonserwatyzm jako ruch ideologiczny powstał już w latach czterdziestych XX wieku, jednak obecną nazwę, a także linię ideologiczną przybrał po raz pierwszy w latach siedemdziesiątych XX wieku. Wtedy to neokonserwatystami zostali nazwani, przez przywódcę Partii Demokratyczno-Socjalistycznej – Michaela Harringtona, renegaci Partii Demokratycznej, którzy przeszli do konserwatywnej Partii Republikańskiej.

Neokonserwatyści, przywiązani do tradycyjnego pojęcia równości szans, odrzucają lewicowe rozumienie egalitaryzmu, uważają za niezbędne wzmocnienie autorytetu rządu i tradycyjnych elit reprezentujących klasę średnią i warstwy najzamożniejsze. W dziedzinie polityki zagranicznej krytykowali rozpowszechniony ich zdaniem po wojnie wietnamskiej kompleks winy, izolacjonizm oraz politykę odprężenia w stosunkach ze Związkiem Radzieckim. Kryzysowi kultury i obyczajowości oraz kontrkulturze przeciwstawiają obecnie tradycyjne wartości i instytucje kultury zachodniej: religię, rodzinę, indywidualizm oraz podstawowe wolności obywatelskie.

Nie jest to temat łatwy. Po pierwsze dlatego, że nie było jednolitego ideowo neokonserwatyizmu amerykańskiego, ale różne jego frakcje o różnych poglądach ich członków. Po drugie, że współczesny – nas interesujący – wygląd neokonserwatyizmu ma już niewiele wspólnego z ruchem powstałym jako zaporą dla totalitaryzmu, ponieważ całkowicie zmieniły się podstawy ideowe tego ruchu. Na domiar złego, nawet grupa neokonserwatystów tutaj opisana, była niejednorodna i sama wielokrotnie zmieniała poglądy.

„W latach 80-tych XX wieku – pisze Bogdan Szlachta – ta niezorganizowana grupa, złożona z polityków i intelektualistów, uzyskała wielki wpływ na opinię publiczną w okresie rządów Ronalda Reagana. Obok sympatii do Nowego Ładu, środowisko neokonserwatystów, zwane przez krytyków grupą żydowskich intelektualistów z Nowego Jorku, żywiło niechęć do ZSRR i systemu komunistycznego nie tyle jako wroga religii, tradycji i hierarchii, co jako przeciwnika wolności, demokracji i tolerancji, negującego kapitalizm będący warunkiem wolności. Z sympatią odnosiła się ta grupa do idei państwa dobrobytu, a zwalczała skrajny leseferyzm i koncepcje państwa minimum, bronione przez innych neokonserwatystów. Tym, co różniło

<sup>53</sup> J. Żakowski: *Wolnoamerykanka*. „Polityka” 2004, nr 11, s. 49.

wspomniane środowisko od innych grup, była akceptacja ważnego składnika świadomości drugiej połowy wieku: poczucia względności, uznania, że wszystkie poglądy i systemy wartości zależą od okoliczności historyczno-społecznych. Podstawą ich działalności był »kapitalizm demokratyczny« – i kapitalizm, i demokracja są ich zdaniem moralnie wyższe od wszelkich innych możliwości<sup>54</sup>.

Do grona najważniejszych spośród neokonserwatystów XX wieku należeli: publicysta Irving Kristol, redaktor organu Amerykańskiego Komitetu Żydowskiego – miesięcznika „Commentary” – Norman Podhoretz, prawniczka Jeane Kirkpatrick, pisarz David Horowitz, politolog Robert Tucker, socjolog: Daniel Bell i Seymour Lipset oraz luterański pastor i filozof Reinhold Niebuhr. Do tego grona zaliczani są również dwaj wybitni pisarze i wizjonerzy socjologiczno-polityczni: Francis Fukuyama i Samuel Huntington.

„Zaraz po wojnie – pisze John Ehrman – panowały nadzieje na pokój światowy i współpracę radziecko-amerykańską. Wybuch zimnej wojny pokazał, że nadzieje te były nierealistyczne i liberałowie pogrążyli się w sporach o kształt polityki zagranicznej. Pod koniec 1949 roku udało się zbudować konsensus wokół argumentu wysuniętego przez liberalnego historyka Arthura Schlesingera w *The Vital Centre* (*Żywotne centrum*). Stwierdził on, że musimy »bronić i umacniać wolne społeczeństwo przed komunistycznymi atakami, że było urojeniem, iż totalitaryzm i demokracja mogą ze sobą współistnieć, oraz że w związku z tym polityka zagraniczna musi opierać się na powstrzymaniu dalszego rozprzestrzeniania się komunizmu«. Termin »żywotne centrum« stał się skrótową nazwą liberalnego antykomunizmu<sup>55</sup>. Arthur Schlesinger, pisał po latach: „Tradycyjne poczucie misji zrodziło wśród Amerykanów »sentymentalny imperializm« – przekonanie, że sami wiemy lepiej od innych narodów, co ma służyć ich interesom. Skłoniło ono nas do tego, by być nie tyle reformatorem, co sędzią i wykonawcą własnych wyroków wobec świata<sup>56</sup>.”

Kolejny etap w rozwoju „żywotnego centrum” nastąpił w lipcu 1947 roku. Wtedy to George Kennan, szef sztabu planowania politycznego w Departamencie Stanu, a wcześniej ambasador w Moskwie, napisał artykuł, w którym zawarł następującą tezę: „Uważny obserwator stosunków rosyjsko-amerykańskich nie znajdzie powodu do narzekania na wyzwanie, jakie Kreml stawia społeczeństwu amerykańskiemu. Dozna raczej poczucia

<sup>54</sup> B. Szlachta: *Konserwatyzm. W: Doktryny polityczne XIX i XX wieku*. Kraków 2000, s. 193.

<sup>55</sup> J. Ehrman: *Neokonserwatyzm. Intelktualiści i sprawy zagraniczne 1945–1994*. Przeł. T. Bieroń. Poznań 2000, s. 16.

<sup>56</sup> D. Passent: *Imperium dobra...*

wdzięczności wobec Opatrzności, która, stawiając naród amerykański przed tym nieubłagany wyzwaniami, sprawiła, że jego bezpieczeństwo jako narodu zależy od tego, czy zdoła się zjednoczyć i wziąć na siebie odpowiedzialność za przywództwo moralne i polityczne, które historia wyraźnie mu przeznaczyła<sup>57</sup>.

Jednak już wcześniej, bo w lutym 1946 roku, Kennan, będąc jeszcze ambasadorem w Moskwie, wysłał do Stanów Zjednoczonych telegram. Pisał w nim: „Sowieckiej presji na wolne instytucje świata zachodniego można przeciwstawić tylko nacisk zręcznie i czujnie stosowany w różnych częściach globu. Nie ma możliwości zbliżenia stanowisk z reżimem radzieckim. Trzeba go traktować jak rywala i powstrzymywać na całej linii frontu dyplomatycznego<sup>58</sup>. Była to filozoficzna podstawa działań przyszłych neokonserwatystów w okresie zimnej wojny, a także po redefinicji celów i zagrożeń politycznych, po jej zakończeniu.

W roku 1968, roku wyborów prezydenckich, w których wygrał kandydat Republikanów – Richard Nixon, obóz liberalnych antykomunistów poniósł dotkliwą klęskę. *„Żywojne centrum* wydało ostatnie tchnienie. Struktura Partii Demokratycznej stała się dramatycznie słaba, nastąpiło rozczłonkowanie władzy między różne frakcje i pojedyncze osoby<sup>59</sup>. Wykryształizowały się trzy kategorie: antyamerykańscy rewizjoniści zeszłego układu, którzy winą za złe stosunki ze Związkiem Radzieckim obwiniali Waszyngton. Centrum utrzymujące, że nie jest już konieczne powstrzymywanie ekspansji komunizmu oraz „Po prawej stronie spektrum – liberałowie pod kierunkiem Zbigniewa Brzezińskiego, którzy pragnęli chronić interesy Ameryki w świecie. Brzeziński był teoretykiem, który pozostał najbliższym żywojnemu centrum, pozostał na stanowisku antykomunistycznym i miał świadomość, że Moskwa nadal zagraża amerykańskim interesom<sup>60</sup> – pisze Ehrman.

Liberałowie byli lojalnymi członkami Partii Demokratycznej, z czasem jednak znaleźli się w niej w coraz większej izolacji. W 1972 roku próbowali jeszcze nawrócić partię na stanowisko zgodne z ich rodzajem liberalizmu, lecz gdy to się nie powiodło, zmuszeni byli do tego, by zacząć szukać dla siebie nowego miejsca na scenie politycznej Ameryki. Część z nich skreśliła na prawo ku Partii Republikańskiej, przez co zaczęto nazywać ich „nowymi konserwatystami”.

Rozwinięciem stanowiska neokonserwatystów zajmował się politolog Robert Tucker. Napisał on artykuł, w którym – według Ehrmana – analizo-

<sup>57</sup> J. Ehrman: *Neokonserwatyzm...*, s. 29.

<sup>58</sup> P. Wroński: *Strateg zimnej wojny*. „Gazeta Wyborcza” z 2–3 kwietnia 2005, s. 25.

<sup>59</sup> J. Ehrman: *Neokonserwatyzm...*, s. 39.

<sup>60</sup> Ibidem, s. 40, 45.

wał i opowiedział się za pomysłem interwencji zbrojnej, która miała zapewnić Ameryce kontrolę nad niektórymi złożami naftowymi w Zatoce Perskiej. Pisał: „Nawet ci z spośród nas, którzy opowiadali się za zmniejszeniem amerykańskiej strefy wpływów i zaangażowania, opierali się na założeniu, że nie zaowocuje to powstaniem świata, w którym granice polityczne i ekonomiczne Ameryki będą zbieżne z jej granicami terytorialnymi”<sup>61</sup>. Ehrman pisał dalej, że Tucker wysunął również dwie, niezwykle ważne dla późniejszego myślenia i postępowania neokonserwatywnego tezy: „Pierwsza z nich brzmiała, że gdy w grę wchodzi ochrona interesów narodowych, wolno brać pod uwagę użycie siły. Druga tyczyła tego, iż elita polityki zagranicznej utraciła wolę działania, ponieważ jest przekonana, że siła utraciła prawomocność, a właśnie siła danego państwa była potrzebna do tego, by bronić się przed nędzą państw słabych w formie chaosu i wojny”<sup>62</sup>. W tej chwili jesteśmy świadkami działania tych właśnie założeń Tuckera w praktyce, obecni neokonserwatyści bowiem są bardzo mocno nastawieni na rozwiązania siłowe w celu obrony i umacniania amerykańskich interesów poza granicami Stanów.

Najważniejszym, priorytetowym wręcz celem polityki Amerykanów od czasów prezydenta Woodrowa Wilsona, było rozciągnięcie, a w najgorszym wypadku utrzymanie strefy państw demokratycznych jako zapewnienie bezpieczeństwa Stanom Zjednoczonym oraz zagwarantowanie ich żywotnych interesów. Cele takie miały być realizowane za pomocą dyplomacji, jednakże dopuszczano użycie środków militarnych, jeśli wymagałyby tego okoliczności. „Neokonserwatyści byli przekonani – pisze Ehrman – że jeżeli kraje sojusznicze Stanów Zjednoczonych zostaną przejęte lub zneutralizowane przez siły prosowieckie i Ameryka będzie jedyną na świecie demokracją, to nie zdoła utrzymać tego ustroju”<sup>63</sup>. Na łamach gazet należących do neokonserwatystów drukowano wiele artykułów, felietonów i esejów poświęconych temu właśnie zagadnieniu. Poszczególni ideolodzy neokonserwatywnego nurtu wchodzili nawet we wspólnie uzupełniające się dyskusje. Walter Laqueur pytał: „Czy wolność i tradycyjne amerykańskie wartości mogą przetrwać, kiedy w pozostałej części świata zgasną światła? Na co Norman Podhoretz odpowiadał: „Nie mogą, ponieważ w tego rodzaju świecie zapanowałoby barbarzyństwo i nędza, i Stany Zjednoczone nie mogłyby przeżyć w takim środowisku”<sup>64</sup>. Natomiast dla Nathana Glazera oczywistością było, że „Świat jest dla nas bezpieczniejszym i pogodniejszym miejscem, jeśli istnieją w nim demokratyczne społeczeństwa,

<sup>61</sup> Ibidem, s. 67.

<sup>62</sup> Ibidem, s. 68.

<sup>63</sup> Ibidem, s. 122.

<sup>64</sup> Ibidem.

bo bez nich byłby bardziej niebezpieczny i przygnębiający. Stany Zjednoczone mają zatem obowiązek wspierać kurczącą się wyspę demokracji na świecie”<sup>65</sup>.

Wielu neokonserwatystów obawiało się powtórki z Monachium, kiedy Zachód ustąpił Hitlerowi. Byli więc przeciwni polityce ustępstw wobec Związku Radzieckiego i żądali wręcz twardego kursu w dyplomacji z Sowietami. Neokonserwatyści wzywali przeto nie tylko do powstrzymywania komunizmu wszelkimi środkami dyplomatycznymi, ale także do ciągłego wzmocnienia armii amerykańskiej, zanim będzie za późno, ponieważ „Wyższość w dziedzinie broni strategicznej i konwencjonalnej pozwoli Związkowi Radzieckiemu wywrzeć decydujący nacisk na Stany Zjednoczone w sytuacjach konfliktu, ponieważ Sowieci nie są zainteresowani wzajemnym odstraszeniem i nuklearnym patem. Dla Sowietów wyraźna przewaga nuklearna stanowi najlepszą broń w dyplomacji opartej na przymusie”<sup>66</sup>.

Istotnym czynnikiem polityki neokonserwatystów był Izrael, a także polityka wobec tegoż prowadzona przez administrację Cartera. „Właśnie przez tą politykę – pisze Ehrman – pozycja Cartera wśród nich zaczęła ulegać raptownemu pogorszeniu. Najbardziej obawiali się tego, że Stany Zjednoczone zmuszą Izrael do zawarcia niekorzystnego układu z arabskimi sąsiadami. Zwolennicy Izraela rozpoczęli kampanię, w której lansowali tezę, że państwo żydowskie jest dla Stanów Zjednoczonych ważnym kapitałem strategicznym. Izrael jest jedynym wiarygodnym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych na tym roponośnym obszarze, jeżeli zatem Stany dopuszczą do obalenia państwa izraelskiego, mając na uwadze względne stosunki z Arabami, niepotrzebnie utracą niezastąpionego sprzymierzeńca”<sup>67</sup>.

Obawiali się również, że „Na skutek słabości Zachodu w latach siedemdziesiątych XX wieku może dojść do zniszczenia Izraela i ponownego Holocaustu. Jeszcze długo przed wyborami w 1976 roku, w których zwyciężył James Carter, neokonserwatyści upominali się o silnie antyradziecką, proizraelską politykę zagraniczną, która dałaby odpór wzmożonemu ekspansjonizmowi radzieckiemu i chroniłaby amerykańskie interesy na Bliskim Wschodzie”<sup>68</sup> – pisze Ehrman.

Neokonserwatyści, gdy okazało się, że Carter przestał podzielać ich poglądy, a w swej rodzimej Partii Demokratycznej nie mieli już oparcia, zwrócili swe wysiłki na poszukiwanie nowego Trumana, antykomunistycznego liberała, który pomógłby im realizować ich politykę wzmocnienia siły Stanów Zjednoczonych na świecie oraz Izraela na Bliskim Wschodzie. Jednak

<sup>65</sup> Ibidem, s. 123.

<sup>66</sup> Ibidem, s. 127–128.

<sup>67</sup> Ibidem, s. 138–139.

<sup>68</sup> Ibidem, s. 113, 123.

„W 1980 roku w szeregach Partii Demokratycznej nie było żadnego Trumana. Uznawszy, że u demokratów nie ma już dla nich miejsca, w zimie 1980 roku neokonserwatyści zaczęli występować z partii”<sup>69</sup>. Znaleźli nową nadzieję w osobie republikanina Ronalda Reagana.

Wraz z administracją Reagana do władzy doszło również drugie pokolenie neokonserwatystów, którzy wespół z „ojcami założycielami” wyznawanej przez nich ideologii mogli bez żadnych ograniczeń przystąpić do wprowadzania w życie własnej polityki. „Neokonserwatyści wierzyli – pisze Ehrman – że mają w Reaganiu prezydenta, który podziela ich pogląd na świat, a szczególnie na ogromną wagę przeciwstawienia się ekspansjonizmowi radzieckiemu. Uważali, że jego zwycięstwo dowodzi, że naród amerykański przychylił się do ich przekonania o bezpośrednim zagrożeniu”<sup>70</sup>. Ci spośród neokonserwatystów, którzy w Waszyngtonie są aktualnie u władzy, zaczęli swe kariery jako pracownicy sztabu wyborczego Reagana. Są oni wspierani przez synów głównych ideologów tego ruchu. Można by nawet zaryzykować stwierdzenie, iż obecny obóz neokonserwatywny to dziedziczne już przedsięwzięcie klanów rodzinnych. Do drugiego pokolenia neokonserwatystów należą: William Kristol – syn Irvinga, John Podhoretz – syn Normana, Robert Kagan – syn Donalda, Eliot Abrams, Eliot Cohen, Max Boot, Dick Cheney, Paul Wolfowitz, Richard Perle nazywany Księciem Ciemności, Donald Rumsfeld, historyk idei – Michael Ledeen, Lewis Libby, a także Victoria Nuland – żona Roberta Kagana.

W czasie pierwszej kadencji Reagana neokonserwatyści, dzięki swym kontaktom, jakie mieli w Białym Domu, mogli wywierać znaczący wpływ na kształtowanie polityki zagranicznej. Według zgodnych opinii obserwatorów polityki oraz samych polityków, w Stanach Zjednoczonych następowała rewolucja konserwatywna. Neokonserwatyści byli przekonani, że naród amerykański całkowicie poparł ich punkt widzenia i akceptuje potrzebę zniwelowania nierównowagi między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim w dziedzinie uzbrojenia. Podhoretz tak kwitował ówczesną siłę ideologii neokonserwatywnej: „Nie ulega kwestii, że jest nas dzisiaj więcej niż dziesięć lat temu. Niektóre z naszych idei, jeszcze pięć czy dziesięć lat temu odrzucane bez dyskusji, wyśmiewane i wykpiwane, są poważnie brane pod uwagę, a niektóre stały się ortodoksją. Wybory pokazały, że istnieje nowa amerykańska większość, która popiera republikańskie próby zahamowania procesu zmniejszania się potęgi Ameryki. Przyszedł czas na umocnienie naszego systemu obronnego, powstrzymanie ekspansjonizmu radzieckiego i obronę naszych żywotnych interesów w Zatoce Perskiej”<sup>71</sup>.

<sup>69</sup> Ibidem.

<sup>70</sup> Ibidem, s. 152.

<sup>71</sup> Ibidem, s. 156–157.

Musiąco w końcu dojść do tego, że neokonserwatywni ideolodzy z Nowego Jorku, zaczęli krytykować Reagana za zbytnią „miękkosc” jego administracji w stosunkach ze Związkiem Radzieckim. Walter Laqueur twierdził, że „Moskwa, w przeciwieństwie do Waszyngtonu ma świadomość znaczenia walki ideologicznej. Powstrzymywanie jest polityczną walką o umysły ludzi w kraju i za granicą. Brak działania Reagana w tej dziedzinie jest trudny do wyjaśnienia”<sup>72</sup>. Natomiast Podhoretz pisał: „Prezydent sprzeniawierzył się swym ideałom oraz zdradził nadzieje, nie ustanawiając zdecydowanej polityki wobec bloku sowieckiego. Wydawało nam się, że w Reaganiu znaleźliśmy siłę polityczną zdolną do odwrócenia biegu spraw”<sup>73</sup>.

Zacietrzewienie Podhoretza oraz innych ideologów, a także pewne niedowierzenie wobec haseł Gorbaczowa – pierestrojki i głośności, w których widzieli oni wzmocnienie, a nie kryzys komunizmu, zachwiało poważnie politycznymi wpływami neokonserwatystów, niemal wyeliminowanych za drugiej kadencji Reagana. Jacek Bartyzel, w artykule *Geopolityka neokonserwatystów*, pisze: „Ich pozycję uratował, wskazując zarazem po raz kolejny nowy cel strategiczny, Irving Kristol, który najwcześniej zorientował się, że ideologiczny ekstremizm prowadzi do marginalizacji politycznej. W 1985 roku Kristol założył pismo »*The National Interest*»<sup>74</sup>, gdzie proklamował tak zwany neorealizm, którego idea przewodnią było prowadzenie polityki pośredniej pomiędzy amerykańskim izolacjonizmem a ideologicznymi krucjatami antykomunistycznymi. Zdaniem Kristola, Stany Zjednoczone powinny krzewić demokrację za granicą raczej własnym przykładem, natomiast siły używać tylko wówczas, gdy wymaga tego ich narodowy interes”<sup>75</sup>.

Zimna wojna dobiegła końca. Główna oś polityki Stanów Zjednoczonych – powstrzymywanie komunizmu – przestała istnieć, a neokonserwatyści musieli zastanowić się nad ważną dla nich kwestią i postawić sobie pytanie, na które przez czterdzieści lat odpowiedź była oczywista: Na czym powinny skupić się amerykańskie działania za granicą? Dyskusja na ten temat dotyczyła kwestii tego, czy Ameryka ma prowadzić aktywną politykę rozprzestrzeniania demokracji na świecie wszelkimi metodami. Okres pewnego zamieszania w obozie neokonserwatywnym po 1989 roku wynikał też z tego, że – jak przyznał Kristol – „Bardzo trudno jest określić politykę zagraniczną, kiedy się nie ma wroga, a obecnie Stany Zjednoczone nie mają żadnego wroga, choć są kraje, które, jak Iran czy Libia, prowadzą politykę nieprzyjazną, ale nie zrobiły one dotąd nic takiego, co przesunęłoby je do kategorii wrogów. Świat obfituje jednak wciąż w możliwości do-

<sup>72</sup> Ibidem, s. 161.

<sup>73</sup> Ibidem, s. 161–162.

<sup>74</sup> To właśnie na łamach „*The National Interest*”, w 1989 roku, ukazał się pierwszy zarys słynnego eseju *Koniec historii?*

<sup>75</sup> <http://www.konserwatyzm.pl/pfrel>.

starczania wrogów. W końcu więc na pewno znów będziemy mieli wroga czy wrogów i znów będziemy mogli wobec nich określić naszą politykę zagraniczną<sup>76</sup> – pisze Bartyzel. Słuszność przewidywań Kristola nadzwyczaj trafnie potwierdziła się w obecnych wydarzeniach w Ameryce i świecie. Polityka Stanów Zjednoczonych – nieco zagubionych w latach dziewięćdziesiątych – została zredefiniowana: kruczata antykomunistyczna została zastąpiona kruczatą w imię wolności i bezpieczeństwa.

Za prezydentury Reagana neokonserwatyści ostatecznie porzucili Demokratów, przechodząc do obozu Republikanów. Współpraca nie układała się jednak bezkonfliktowo, ponieważ obie grupy wyraźnie wyznaczyły różnice między sobą, a paleokonserwatyści – tradycyjni konserwatyści, zaczęli się zastanawiać, czy aby nie zrobili źle, przygarniając byłych liberałów. „Gniew tradycyjnych neokonserwatystów bez wątpienia rodził się w dużym stopniu z poczucia, że ruch konserwatywny został zdominowany – zawłaszczony – przez niewielką grupkę spóźnialskich z północnego wschodu<sup>77</sup> – pisze Ehrman.

Niektórzy z paleokonserwatystów posuwali się w swych krytycznych wypowiedziach znacznie dalej. Russell Kirk, założyciel konserwatywnego ruchu intelektualnego, powiedział, iż „Neokonserwatyści nie stawiają interesu Ameryki na pierwszym miejscu. Nierzadko można odnieść wrażenie, że niektórzy wybitni neokonserwatyści uważają Tel Awiw za stolicę Stanów Zjednoczonych<sup>78</sup>. Ehrman przyznaje, że także neokonserwatyści mieli swoje wady. Jedną z nich „Była nadmierna zapalczywość. Swoich wrogów nierzadko postrzegali oni jako wcielenie zła, które trzeba zniszczyć, nie zaś jako przeciwników, z którymi trzeba dyskutować<sup>79</sup>. Taką retorykę – uosabiania zła w jakimś przywódcy bądź kraju – przyjęto na początku prezydentury George’a Busha juniora w 2001 roku. Po zamachu zaś została ona całkowicie ugruntowana, a zarazem weszła do oficjalnego języka dyplomacji amerykańskiej.

Drugie pokolenie neokonserwatystów to przede wszystkim ludzie, którzy sprzeciwiają się tendencjom izolacjonistycznym i ograniczającym misję Ameryki, którzy chcą widzieć Amerykę wielką i eksportować jej wartości na cały świat przy użyciu wszelkich środków. Twierdzili oni, że, „Ponieważ bezkrwawe zwycięstwo w zimnej wojnie uczyniło Stany Zjednoczone hiperimocarstwem w świecie, toteż siłą rzeczy wzmogło w polityce amerykańskiej – obecną przynajmniej od prezydentury Wilsona – tendencję »demo-

<sup>76</sup> <http://www.konserwatyzm.pl/pfrel>.

<sup>77</sup> J. Ehrman: *Neokonserwatyzm...*, s. 200.

<sup>78</sup> Ibidem.

<sup>79</sup> Ibidem, s. 204.

kratyczno-mesjanistyczną« w ideologii państwowej oraz dążenie do stworzenia globalnego imperium”<sup>80</sup> – pisze Jacek Bartyzel.

Ostatnią dekadę XX wieku neokonserwatyści wykorzystali także w pełni do zbudowania solidnych podstaw finansowych i do oczekiwanego powrotu do władzy wraz z Partią Republikańską. Jednak wszystkie neokonserwatywne koncepcje były sukcesywnie „odkładane na półkę”. Tak działo się aż do pamiętnego 2001 roku, w którym ich idee zostały zaaprobowane przez nową administrację, w znakomitej większości złożoną właśnie z neokonserwatystów. Polityka, jaką realizuje obecny prezydent Stanów Zjednoczonych, została przygotowana dużo wcześniej i cierpliwie czekała na odpowiedni moment. Patric Buchanan twierdzi: „Żydzi neokonserwatyści, tacy jak Richard Perle i Paul Wolfowitz, przywłaszczyli sobie politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych i spowodowali katastrofalne skutki. Po Zamachu w 2001 roku mieli możliwość wprowadzić w życie swoje plany z 1996 roku, przygotowane do budowy *wielkiego Izraela*, pod tytułem: *Nowy Początek: Nowa Strategia Uzyskania Dziedziny*, którą to dziedziną jest biblijne królestwo Salomona i Dawida. W ten sposób hegemonia Izraela ma rozciągać się nad północnym Egiptem, nad Synajem, Arabią Saudyjską, Jordanią, Kuwejtem, Irakiem, Turcją, Syrią i Libanem. Izrael jako potęga nuklearna faktycznie może za pomocą amerykańskiej maszyny wojennej taką hegemonię zdobyć, zwłaszcza, że wyżej wymienieni ludzie twierdzą, iż interesy Stanów Zjednoczonych i Izraela są identyczne”<sup>81</sup>.

Jacek Bartyzel pisze w tej kwestii tak: „Już w 1992 roku Paul Wolfowitz i Lewis Libby opracowali dokument – Wytyczne Planowania Obronnego, w którym postulowali zastąpienie doktryny odstraszenia nową strategią hegemonii globalnej oraz wzywali do permanentnej obecności militarnej Stanów Zjednoczonych na sześciu kontynentach, ażeby wybić z głowy wszystkim potencjalnym konkurentom aspiracje o większej roli w skali regionalnej lub globalnej. Chociaż projekt ten został wówczas odrzucony, jego tezy stały się podstawą Strategii Bezpieczeństwa Narodowego ogłoszonej 21 września 2002 roku przez prezydenta Busha. W 1997 roku Abrams, Cheney, Fukuyama, Podhoretz, Rumsfeld i Wolfowitz powołali instytucję pod nazwą »Projekt Nowego Amerykańskiego Stulecia« z Williamem Kristolem jako prezesem, która postawiła sobie za cel sformułowanie strategii dla osiągnięcia globalnej hegemonii Stanów Zjednoczonych. We wrześniu 2000 roku opublikowali dokument, zawierający postulat przebudowy amerykańskich sił zbrojnych tak, aby mogły one służyć spełnieniu celów imperialnych”<sup>82</sup>. Realizacji tego scenariusza wydatnie dopomógł atak terrory-

<sup>80</sup> <http://www.konserwatyzm.pl/pfrel>.

<sup>81</sup> <http://www.stosunki.pl>

<sup>82</sup> <http://www.konserwatyzm.pl/pfrel>.

styczny na World Trade Centre, który potwierdził słuszność przewidywania Irvinga Kristola w odniesieniu do pojawienia się przyszłych wrogów Ameryki, a także wybór na prezydenta republikanina George'a Busha.

Po tych wszystkich wydarzeniach, po nakreśleniu osi zła, po rozpoczęciu wojny z Irakiem, tradycyjni konserwatyści zaczęli głośniejszą niż wcześniej wyrażać swoją krytykę pod adresem neokonserwatystów. Owa nagonka dotyczyła głównie sprawy powiązania żydowskiej grupy neokonserwatystów z Izraelem<sup>83</sup>. „Na łamach »The American Conservative« napisało, że jest to pierwszy przypadek w historii, aby wielkie państwo – Stany Zjednoczone, prowadziło wojnę w interesie małego państwa – Izraela. Dlatego już dziewięć dni po ataku na WTC grupa około 40 neokonserwatystów, między innymi Podhoretz, Kristol, Bennett, Kirkpatrick, Perle, Krauthammer, wysłała list otwarty do prezydenta Busha, z żądaniem zniszczenia Hezbollahu, obalenia Saddama Husajna oraz odwetu na Syrii i Iranie”<sup>84</sup> – pisze Bartyzel.

## Nowy porządek świata

Prowadzenie wiecznej wojny dla wiecznego pokoju, choć cel jest szczytny, nie jest jednak tak chwalebne, jakby się mogło wydawać. Przekonanie Amerykanów, że z dyktaturami, które zagrażają ich interesom, można się uporać, „rozmawiając” z nimi z pozycji siły, w Europie nie zostało nigdy zaakceptowane i dlatego zaczęło stwarzać to międzykontynentalne nieporozumienia, które swe apogeum osiągnęły w 2003 roku. Europa zaczęła mówić o wojowniczej dominacji Ameryki, a jakby nie pamiętała w tym względzie – albo raczej chciała zapomnieć – własnej wojowniczej historii. Jednocześnie próbowała narzucić Ameryce swój obecny, pokojowy pogląd na świat.

Politolog Robert Kagan czołowy ekspert w dziedzinie polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, jest autorem książki *Potęga i raj*. Komentatorzy polityczni – ci z Europy, a ci z Ameryki przede wszystkim – są zgodni co do tego, że książka Kagana, obok *Końca historii* Francisca Fukuyamy oraz *Zderzenia cywilizacji* Samuela Huntingtona, stanowi wielką trylogię,

<sup>83</sup> Ze względu na podobieństwo ideologiczne – cele imperialne, bliskie stosunki z nacjonalistyczną partią Likud premiera Szarona, a także posiadanie przez te dwie grupy tych samych sponsorów, neokonserwatystów nazywa się potocznie „amerykańskimi likudnikami”.

<sup>84</sup> <http://www.konserwatyzm.pl/pfrel>.

ukazującą potęgę intelektualną Ameryki. „Te trzy wielkie hipotezy z kręgu humanistyki amerykańskiej mają ważną cechę wspólną – stanowią próbę całościowego podejścia, opisanie i wyjaśnienia problemów naszej planety. Są to próby wyjścia z niszy i skonstruowania opisów, które pomogłyby nam świat ogarnąć i zrozumieć”<sup>85</sup> – mówi Ryszard Kapuściński.

Myślą przewodnią książki było ukazanie przyczyn rysującego się zróżnicowania ideologicznego, kulturowego i militarnego między Europą i Ameryką. Militarnego najbardziej. Kagan udowadnia nam, iż te dwa wielkie skupiska ludzi coraz bardziej się od siebie oddalają. Twierdzi nawet, że w przyszłości Europa i Ameryka staną się sobie zupełnie obce – Europa będzie coraz bardziej z tyłu za wszechpotężną Ameryką, aż ich drogi rozejdą się ostatecznie.

Najważniejsza pozostaje kwestia militarna oraz ideologiczne podejście do wojny i amerykańskiej misji demokratyzacji oraz liberalizacji świata. Mówiąc obrazowo – różnice, szczególnie militarne, przybierają postać przepaści. Dysproporcja ta stała się u schyłku lat dziewięćdziesiątych XX wieku jeszcze bardziej rażąca, kiedy stało się jasne, że europejskie mocarstwa mają nader ograniczoną możliwość przerzucania znaczących sił poza kontynent, do rejonów objętych konfliktem. „Europa – przekonuje Kagan – przenosi się ze świata, w którym rządzi władza i siła, do samowystarczalnego świata praw i reguł, międzynarodowych negocjacji i kooperacji. Wkracza do post-historycznego raj, gdzie panuje spokój i względny dobrobyt, świata będącego spełnieniem kantowskiego ideału wiecznego pokoju. Stany Zjednoczone natomiast tkwią po uszy w historii, stosując siłę i władzę w anarchicznym świecie Hobbesa, gdzie międzynarodowe prawa i reguły zawadzają, gdzie bezpieczeństwo, obrona własna i krzewienie liberalnego porządku nadal wymagają potęgi militarnej”<sup>86</sup>.

Obecne przywództwo Stanów Zjednoczonych jest niezaprzeczone. Było już takie w chwili upadku Związku Radzieckiego, jednak przez niemal całe lata dziewięćdziesiąte minionego stulecia Ameryka miała wewnętrzny problem z samookreśleniem politycznym, a także z uświadomieniem sobie faktu światowego przywództwa. Dylemat, jaką drogę wybrać w polityce zagranicznej, przypadł na okres ośmiu lat prezydentury Billa Clintona. Były dwie możliwości – w pewnym stopniu wycofać się z aktywnej polityki zagranicznej i ograniczyć swoją obecność na świecie, lub, w obliczu braku liczących się państw-konkurentów, jeszcze bardziej ją wzmóc.

W czasie kampanii prezydenckiej w 1996 roku Robert Kagan i William Kristol napisali artykuł, w którym jasno precyzowali oczekiwania i cele, jakie ma spełniać amerykańskie supermocarstwo. Pisali tak: „Głównym za-

<sup>85</sup> R. Kapuściński w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” z 24–26 grudnia 2002, s. 18.

<sup>86</sup> Ibidem.

grożeniem, przed jakim staje dziś Ameryka, jest jej niechęć do objęcia światowego przywództwa. A tylko ono może zagwarantować, że pokój i ład światowy się nie załamią. Amerykanie muszą sobie przypomnieć o czasach Ronalda Reagana. Przez ostatnich kilka lat Amerykanie uznali, że nadszedł czas, by Stany Zjednoczone zrzuciły z siebie ciężar odpowiedzialności, jaka spadła na nie po II wojnie światowej, i skupiły się na sprawach wewnętrznych. Załamanie się imperium radzieckiego sprawiło, że w amerykańskiej polityce zagranicznej i obronnej możliwy stał się powrót do normalności, czyli przyjęcie węższej definicji interesów narodowych, mniejsze zaangażowanie w operacje zamorskie i obcięcie wydatków na obronę<sup>87</sup>. Europa natomiast, całkiem inaczej niż amerykańscy neokonserwatyści i większość republikanów, zaczęła postrzegać zagrożenie dla świata i samej siebie. Jeśli dla Ameryki zagrożeniem była jej własna słabość, to dla Europy zagrożeniem była i jest Ameryka. „Europejczycy obawiają się bowiem nieliczenia się Ameryki z innymi. Boją się, że przedłużą to istnienie hobbesowskiego świata, w którym mogą być w coraz większym stopniu ofiarą. Stany Zjednoczone może i są hegemonem łagodnym, ale w tej mierze, w jakiej opóźniają nadejście ładu światowego zapewniającego więcej bezpieczeństwa słabym, są [dla Europy – W.F.] czynnikiem obiektywnie zagrażającym”<sup>88</sup> – pisze Kagan.

Wygląda na to, że Europa nie chce być silna i nie chce wychodzić poza granice kantowskiego raj, w którym jedynym zagrożeniem są bandyci na ulicach i odradzające się ruchy nacjonalistyczne. Stary Kontynent nie ma ochoty na militarne zaangażowanie w świecie, woli rozwiązywać ewentualne konflikty drogą dyplomacji. Niechęć Europy do wojny wynika w dużej mierze z „niepomyślnego” dla niej przebiegu zeszłego stulecia, a także ze świadomego braku środków, by takie działania prowadzić. Europa chce „odpoczynku”, chce zająć się sobą, a zajmowanie się sprawami demokratycznego udoskonalania świata pozostawia w gestii Ameryki. Ryszard Kapuściński twierdzi: „Skończyła się 500-letnia dominacja Europy w świecie. Europa musi znaleźć sobie nowe miejsce na mapie świata. Przechodzimy od *Europy-świata* do *Europy w świecie*”<sup>89</sup>.

Europejczycy zarzucają Stanom Zjednoczonym zbyt dużą wojowniczość, tak jakby sami zapomnieli, jaką tworzyli historię w zeszłym stuleciu, nie wspominając o minionym millennium. Jest to oskarżenie mylne, ponieważ Ameryka od początku swego istnienia używała siły do zabezpieczenia własnych interesów. Można jedynie mówić o wzmożonej intensywności dzia-

<sup>87</sup> R. Kagan: *Po pierwsze hegemonia*. „Gazeta Wyborcza” z 19–20 października 1996, s. 16.

<sup>88</sup> Idem: *Kowboje i barmani*. „Gazeta Wyborcza” z 17–18 sierpnia 2002, s. 12.

<sup>89</sup> R. Kapuściński w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” z 24–26 grudnia 2002, s. 18.

łań amerykańskich, jakim poddawany jest dzisiejszy świat. Robert Kagan pisze w tej kwestii, co następuje: „Nie ma nic ponadczasowego ani w obecnej ufności Ameryki w siłę jako instrument polityki międzynarodowej, ani w zastępowaniu prawa międzynarodowego jednostronnymi działaniami. Amerykańscy mężowie stanu XVIII i początku XIX wieku uderzali w tony charakterystyczne dla polityków dzisiejszej Europy, głosili chwałę handlu jako czynnika łagodzącego konflikty międzynarodowe, odwoływali się do międzynarodowych praw i opinii publicznej, a nie nagiej siły. Kiedy Stany Zjednoczone były słabe, preferowały strategie okrężne, strategie słabych; kiedy urosły w potęgę, zaczęły postępować, jak potęgom przystaje. Kiedy wielkie europejskie mocarstwa były potężne, wierzyły w siłę i chwałę oręża; teraz widzą świat oczami państw wyraźnie słabszych”<sup>90</sup>.

Amerykanie wierzą, że zarówno człowiek, jak i świat może stać się doskonały. Jednak owa idealistyczna wiara w nadejście czasów doskonałości człowieka musi mieć oparcie w sile militarnej i ma prawo się ziścić tylko wtedy, kiedy człowiek przyjmie amerykański system wartości, a świat – zasady ustrojowe Stanów Zjednoczonych. Jest tak dlatego, iż Amerykanie „Są realistami w tym sensie, że są przekonani, iż w świecie dalekim od doskonałości potęga jest wciąż niezbędna. Prawa regulujące stosunki międzynarodowe istnieją według nich dlatego, że siła taka jak Stany Zjednoczone broni ich mocą swego oręża. Amerykanie widzą siebie niekiedy heroicznie. Będą bronić współmieszkańców globu, czy oni tego chcą, czy nie. Społeczeństwo amerykańskie jest na wskroś liberalne i postępowe. Jeśli wierzy w siłę i władzę, to tylko jako środek wiodący do celu, jakim jest liberalna cywilizacja i liberalny ład światowy”<sup>91</sup> – pisze Kagan. Była sekretarz stanu Madeleine Albright powiedziała, że Stany Zjednoczone dla rozwoju demokracji liberalnej są krajem niezbędnym, ponieważ jego obywatele noszą głowę wysoko i dlatego widzą dalej niż inne narody.

Według Kagana, Amerykanie są z Marsa, a Europejczycy z Wenus. Te planety, mające swe charakterystyki w mitologii rzymskiej, posłużyły Kaganowi do opisu – jak sam to nazywa – „kultury strategicznej” ludności obu kontynentów: „Stany Zjednoczone szybciej uciekają się do siły i są mniej cierpliwe w dyplomacji. W ich mniemaniu świat dzieli się na dobrych i złych, przyjaciół i wrogów. Współczesna kultura strategiczna Europy reprezentuje świadome odrzucenie europejskiej przeszłości, zanegowanie zła europejskiej *Machtpolitik*”<sup>92</sup>. Jest odzwierciedleniem żarliwego i zrozumiałego pragnienia, by nigdy nie wrócić do tej przeszłości”<sup>93</sup>.

<sup>90</sup> Ibidem.

<sup>91</sup> R. Kagan: *Kowboje i barmani...*

<sup>92</sup> Niem. – polityka siły.

<sup>93</sup> R. Kagan: *Kowboje i barmani...*, s. 9, 67.

Można domniemywać, że współczesnej Europie taki podział ról odpowiada, ponieważ może ona zająć się budowaniem struktur europejskiej wspólnoty o szczelnych granicach i silnej gospodarce, pozostawiając problemy wojskowe innym. Nie powinniśmy więc, jako Europejczycy, mieć Ameryce za złe, że zajmuje się bandytami i troszczy się o rozwój i utrzymanie demokracji na naszym kontynencie. Fakt pozostaje faktem – nie mieliśmy demokratycznego rajy w Europie bez Ameryki. „W 1947 roku – pisze Kagan – Brytyjczycy zrozumieli, że Stany Zjednoczone wkrótce przejmą pochodnie przywództwa. Francji i Wielkiej Brytanii nie podobał się pomysł niezależnego europejskiego bloku »trzeciej siły«, gdyż obawiały się, że będzie on uzasadnieniem dla wycofania się Amerykanów z Europy. Wtedy pozostałyby one same w obliczu Niemiec i Związku Radzieckiego. W ten sposób Europa weszła w stan strategicznej zależności od Stanów Zjednoczonych, który trwa już ponad pięćdziesiąt lat”<sup>94</sup>.

Po drugiej stronie Atlantyku mówi się, że Europejczycy żyją za darmo pod parasolem ochronnym Ameryki. Zamiast wydawać wielkie sumy na obronę, Europejczycy wolą wydawać pieniądze na programy socjalne i długie wakacje. Europa za nic nie chciałaby wyjść ze swojego pokojowego rajy. „Europejczycy, którzy wynaleźli politykę siły, zmienili się w nawiedzonych idealistów. Europa żyje dzisiaj w ponowoczesnym systemie, który nie opiera się na równowadze sił, ale na rezygnacji z siły”<sup>95</sup> – pisze Kagan.

Kant postulował powołanie światowej republiki, która skupiałaby pod sobą wszystkie narody i stanowiłaby dla nich prawo. Wszelako sam nie był pewien, czy owa światowa republika nie będzie jeszcze większym zagrożeniem dla wolności ludzi, to superpaństwo bowiem mające nieograniczoną władzę. Suweren mógłby więc zacząć instrumentalnie posługiwać się ludźmi dla osiągnięcia własnych celów i korzyści, co byłoby sprzeczne ze sformułowanym przez Kanta imperatywem praktycznym, który brzmi: „Postępuj tak, byś człowieczeństwa tak w twojej osobie, jako też osobie każdego innego używał zawsze zarazem jako celu, nigdy tylko jako środka”<sup>96</sup>. Potrzeba było więc takiego tworu, który broniłby narodów, pozostawiając im zarazem wolność rządzenia się według własnych praw.

Ameryka utrzymuje w Europie Zachodniej 100 tys. żołnierzy na znak, „że chce, zgodnie ze swymi zobowiązaniami, bronić europejskiej stabilizacji i bezpieczeństwa”<sup>97</sup> – twierdzi Kagan. Mówi on dalej, iż Amerykanie rozwiązali za Europejczyków kantowski dylemat – rząd czy wolność. Uzasadnia to tak: „Kant utrzymywał, że jedynym lekarstwem na niemoralny hor-

<sup>94</sup> Ibidem, s. 24–25.

<sup>95</sup> Ibidem, s. 68.

<sup>96</sup> P. Świercz: *Immanuel Kant. W: Słownik myśli społeczno-politycznej*. Red. J. Derek. Bielsko-Biała 2004, s. 349.

<sup>97</sup> „Gazeta Wyborcza” z 19–20 października 1996.

ror hobbesowskiego świata przemocy jest stworzenie globalnego rządu. Jednak bał się, że przez ten rząd ów stan powszechnego pokoju będzie większym zagrożeniem dla ludzkiej wolności niż hobbesowski porządek, jako że rząd światowy, dysponując pełnią władzy, stałby się najstraszliwszym despotyzmem. Na pytanie, jak narody mogą osiągnąć wieczny pokój, nie wyzbywając się wolności, Kant nie znał odpowiedzi. Europie odpowiedziały na to pytanie Stany Zjednoczone. Zapewniając jej bezpieczeństwo z zewnątrz, uczyniły zbyt cennym ponadnarodowy rząd Europy. Europejczycy nie potrzebowali siły do osiągnięcia pokoju, i nie potrzebują siły, aby go utrzymać<sup>98</sup>. Amerykanie tworząc w Europie raj, zdecydowali się jednak pozostać poza nim, by nadal wypełniać swoją dziejową misję – szerzyć demokrację i amerykańskie wartości na świecie. Bronią murów raj, ale wrota pozostają dla nich zamknięte.

„Odrzucenie przez Europę polityki siły – pisze Kagan – oraz lekceważenie dla sił zbrojnych jako instrumentu kształtującego stosunki międzynarodowe było możliwe tylko dzięki obecności amerykańskich sił zbrojnych w Europie. Nowy europejski i kantowski porządek mógł powstać tylko pod parasolem ochronnym Ameryki, działającym zgodnie z regułami starego hobbesowskiego świata. Siła Ameryki pozwoliła Europie dojść do przekonania, że siła nie ma już znaczenia. Potęgą militarna Stanów Zjednoczonych, która rozwiązała problem europejski, pozwala dzisiaj Europejczykom wierzyć, że potęga militarna Ameryki i kultura strategiczna, która ją stworzyła, jest przebrzmiała i niebezpieczna<sup>99</sup>. Kagan stwierdził ponadto, iż niebezpieczeństwo polega na tym, że Stany Zjednoczone i Europa mogą się od siebie oddalić. Najlepiej, gdyby Europejczycy porzucili swoje obawy i złości na „wielkiego zbója” i uświadomili sobie, jak istotna jest rola silnej, nawet dominującej Ameryki dla świata, a szczególnie dla Europy.

Wskazówka Roberta Kagana jest warta uwagi i przemyślenia. Trzeba jednak mieć na uwadze to, że przemawia on głosem neokonserwatystów widzących Amerykę jako jedyne cywilizowane państwo, idealny wzorzec dla innych. Jeśli zatem uświadomienie sobie przez Europę i resztę świata dominującej roli Ameryki miałyby polegać na zwykłym poddaniu się wyrokowi „Wielkiego Szatana”, jak określił Amerykę ajatollah Ruhollah Chomeini, to na taki układ świat zapewne się nie zgodzi. Jeśli jednak uznanie dominacji Stanów Zjednoczonych miałyby się równać w wprowadzeniu do prawa międzynarodowego zasady *primus inter pares*, gdzie nie będzie pomijany głos najmniejszego nawet państwa, wtedy niewykluczone, że będzie to miało jakieś szanse powodzenia. Zanim jednak jakiegokolwiek zmiany w polityce światowej się rozpoczną, minie bez wątpienia sporo czasu, bo też nic

<sup>98</sup> R. K a g a n: *Kowboje i barmani...*, s. 69–70.

<sup>99</sup> *Ibidem*, s. 86.

nie wskazuje na to, żeby idea wiecznego pokoju miała się zacząć spełniać jeszcze w tym stuleciu.

Stany Zjednoczone dążą w swej polityce do stworzenia bezkonfliktowego współistnienia z sobą wszystkich narodów i wprowadzenia isticie kantowskiej wizji wiecznego pokoju, gdzie odgrywałyby rolę wiodącą. Chcąc jednak to osiągnąć, nie mają innego wyjścia, jak tylko poruszać się według zasad rządzących hobbesowskim światem, w którym zresztą poruszają się nad wyraz zrećźnie. Nad wyborem takiego postępowania przeważa jeszcze jeden ważny argument, chodzi mianowicie o zabezpieczenie własnych interesów, zarówno politycznych, jak i gospodarczych. Zabezpieczanie to jest najbardziej efektywne, gdy można wykorzystywać do tych celów własną potęgę militarną, jakiej nie ma nikt inny na świecie.

Kończąc, chciałbym przytoczyć przewrotne, acz trafne, stwierdzenie Ryszarda Kapuścińskiego na temat szerzenia demokracji liberalnej przez jej siłowy eksport: „Mówienie o eksportowaniu zachodniej demokracji odczytuję jako próbę uzasadnienia działań ekspansywnych. W kolonializmie też uzasadniano podboje tym, że niesie się postęp, wyższą cywilizację, nawraca na prawdziwą wiarę. I to się rzeczywiście udaje, tyle, że za cenę ogromnego przelewu krwi, kilkunastowiecznej okupacji i dominacji. Jest to zatem pomysł nienowowy, historia zna wiele przykładów niesienia barbarzyńcom innej, »wyższej« cywilizacji. Te uzasadnienia towarzyszą całej ponad 500-letniej historii europejskiego kolonializmu. Tak, to nie jest zły pomysł. Tylko trzeba najpierw oszacować, kto podejmie za to odpowiedzialność? Ile pokoleń będzie to trwało? Ile setek lat? Ile milionów istnień ludzkich będzie kosztowało?»<sup>100</sup>.

---

<sup>100</sup> R. Kapuściński w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” z 24–26 grudnia 2002, s. 17.